Przyjaciel Ludu.

ROK DWUNASTY. **No. 9.** Leszno, *dnia 30. Sierpnia 1845.*



Elźbieta z hr. Krasińskich Jaraczewska.

Lubo życie Elźb. Jaraczewskiéj nie przedstawia żadnych szczególnych wypadków, i należałoby się może ograniczyć na kilkusłowném skreśleniu jéj nader krótkiego literackiego zawodu, pozwolę sobie nadmienić, choć nawiasowo, o jéj prywatnych stósunkach. Jakże tu nie wspomnieć o jéj gruntownéj i pełnéj miłości bliźniego pobożności, o stałości w uczuciach, o poświęceniu w przyjaźni, łagodnéj szczerości, łatwości i słodyczy w pożyciu, i niezrównanéj przyjemności w towarzystwie. Rozmowa jéj niewypowiedzianie zajmująca, dowcipna, bogata w postrzeżenia, w ożywione obrazy, porównania szczęśliwe, samoistny i trafny sposób tłómaczenia się, wszystko to dodawało jéj ponęty i blasku; ale blask ten złagodzony zawsze pobłażaniem i uprzejmością, przyświecając wszystkim, nie raził nikogo, gdyż tak jak wszystkie osoby, prawdziwą posiadające wyższość, Elźb. Jaraczewska miała wiele istotnéj wybaczającéj prostoty. Żadna rozmowa, jakkolwiek szczytna, nie przewyższała jéj pojęcia; żadna, jakkolwiek poziomа, nie zrażała jéj dobroci. Lubo pozbawioną była wszelkich wdzięków powierzchownych, kilka razy jéj się była nadarzyła sposobność pójścia za mąż. Zdawało się atoli, że pragnie pozostać wolną od mnogich obowiązków i kolei innego stanu. Doszedłszy do lat dwudziestu dwóch, i chcąc niejako ustalić swoję przyszłość, postanowiła wstąpić do Kanoniczek w Warszawie, i wyrobiła sobie nawet u nich przyjęcie. Lecz Opatrzność inne miała dla niéj widoki. W tymże samym czasie, przyjaciel jeden rodziny Krasińskich, umyślił ją wyswatać z dawnym swoim kolegą z wojska, Adamem Jaraczewskim, którego szczerze kochał i szacował. Z początku wahała się nieco, gdyż obawiała się wikłać w owe rozliczne związki ziemskie, wśród których tak rzadko umysły wyższe i serca zbyt draźliwie czułe znajdują szczęście. Wahanie to przecież w krótce ustało, gdyż się głęboko przywiązała do zacnego człowieka, rzeczywiście ją cenić umiejącego. Nie długo po ślubie udała się z mężem na ciągły pobyt do

majętności w lubelskiém położonéj, gdzie przez kilkanaście lat przemieszkiwała.

Przez ten tak długi przeciąg czasu, ani na chwilę Elżb. Jaraczewska nie pożałowała swego wyboru. Mąż jéj był wzorem prawości, rzetelności, i wszelkich szlachetnych przymiotów, cechujących prawdziwie polską duszę. Kochając go téż nad życie, nie zatęskniła nigdy w swém miłém zaciszu do obfitszego w rozrywki świata. Prócz licznych umysłowych zatrudnień, które jéj żywość wyobraźni koniecznemi czyniła, dogadzała tudzież wrodzonéj tkliwości serca, zajmując się przedewszystkiém powodzeniem swoich włościan, i kształceniem ich moralności. Wiedząc, iż w każdym stanie, religia jest najpewniejszém źródłem oświaty i szczęścia, postarała się najprzód o gorliwego Proboszcza. Pamięta on zapewne dotąd, i poświadczyć może, iż pobożna jego Kollatórka, chcąc mu osłodzić i ułatwić piérwsze w pięknym lecz ciernistym zawodzie kroki, uczestniczyła częstokroć jego apostolskim pracom i staraniom, czy to w odwiedzaniu chorych, czy w pocieszaniu strapionych, czy w pojednywaniu waśniących się. Mając wzgląd tudzież na szczupłość funduszów okolicznych Księży, nie dozwalającą im nabywania dobrych i pożytecznych książek, utworzyła swemu Proboszczowi małą, lecz wyborową biblioteczkę, złożoną z najlepszych dzieł duchownych i religijno-moralnych, z upoważnieniem, pożyczania tychże za rewersem wszystkim sąsiednim kollegom. Przez kilka lat wciąż pomnażała ten zbiór szacowny, i na kilkanaście dni jeszcze przed śmiercią, kupiła w tym celu kilka pobożnych książek, gdyż czynić dobrze i działać użytecznie, było zawsze dla niéj zajęciem chwili obecnéj, i lubém przyszłości marzeniem.

Mieszkanie jéj na wsi, choć chędogie, miłe, podobném było niekiedy do szpitala; wszyscy bowiem chorzy z jéj włości, a często nawet i z obcych, przychodzili lub przysyłali prosić o lekarstwa i wsparcie, których nieodmawiała nikomu. Obwodowy Doktor, zgodzony rocznie, objeżdżał raz w tydzień wszystkich jéj włościan, a gdy tego potrzeba wymagała, i gwałtowniejsze grassowały choroby, nie tylko bywał codziennie, ale i innych z okolicy Doktorów i Chirurgów przywoływano. Prócz tego, była jeszcze i domowa apteczka, zawierająca wszystkie lekarstwa, jakich tylko zapotrzebować można w nagłych przypadkach i początkowych słabościach, a któréj zaopatrzenie nie małych także wymagało nakładów. Lecz nie na tém się ograniczała dobroć Elżb. Jaraczewskiéj; znała to, iż jedynie uprzejmość serca umila dar ręki, i że biednemu każde słowo staje się pociechą, każdy dowód troskliwości dobrodziejstwem. Sama przeto odwiedzała i pielęgnowała chorych, nie obawiając się częstokroć najniebezpieczniejszéj zarazy, i osładzając nie raz umierającym ostatnią z życiem walkę, odmawianiem tkliwych i z serca płynących modłów. Że zaś jéj czynna i przemyślna dobroć, umiała każdéj chwili nadać użytek, i wszystkie nawet rozrywki w dobre przeistaczać uczynki, celem prawie codziennym jéj spacerów było rozwożenie lekarstw cierpiącym, pożywienia głodnym, wsparcia potrzebnym, pomocy i radości wszystkim.

W dowód atoli, iż życie odosobnione, ciche, pożyteczne i dobroczynne, lepiéj jeszcze przechowuje świeżość i żywość wyobraźni, jak roztargnienie światowych zabaw, czas ten poświęcany ciągle przez Elżb. Jaraczewską wypełnianiu najszczytniejszych cnót chrześciańskich, był oraz epoką objawienia się jéj piśmiennego talentu, który w dojrzalszym już wieku od razu świetnym zajaśniał blaskiem. Zbyt tkliwa, zbyt może drażliwém obdarzona czuciem, zbytnie czuła na wpływ potocznych, choćby najdrobniejszych okoliczności, nie zdolna przytém przepomnieć minionego smutku, ani się nie trapić przewidywaném zmartwieniem, póki młodszą była, nie mogła dosyć przytłumić nieustannego odmętu w sobie, ażeby skreślić wyrazami zbyt obfite wrażenia i myśli. Lecz gdy się jéj życie niejako urzeczywistniło i uspokoiło, nie tak lat napływem, jak raczéj ciągłém poświęcaniem się celowi wyższemu nad kłopotliwe drobnostki tego świata, ogień trawiący jéj wyobraźnią, w błogie zamienił się światło, a zbyt gorące uczucia, w ożywione obrazy. Wady i śmieszności, rażące ją dawniéj w ludziach, stały się w ów czas zajmującym przedmiotem jéj uwag życzliwych. Przedsięwzięcie pisania, nie pochodziło u niéj z chęci wsławienia się, ani tworzenia urojonych marzeń, ale jakby z potrzeby przypomnienia sobie, i opowiedzenia drugim słyszanych i widzianych wypadków. To, co się zaś w jéj pismach moralnego i nauczającego znajduje, nie było tyle skutkiem rozmyślnéj dążności, jak naturalnym połyskiem jéj duszy. Użyteczność wypływała z jéj pomysłów, jak woda wytryska z łona ziemi, jak powietrze krzepi i orzeźwia, jak świeci i ogrzewa słońce. Przyrodzoną jest bowiem cnotliwych istot własnością, że lubo się nie zajmują wrażeniem, jakie sprawują na drugich, każden ich czyn jest wzorem, każde słowo nauką, każde odezwanie się, lepszego świata oddźwiękiem.

Straciwszy już wtedy wzrok prawie zupełnie, w skutku niepohamowanego niegdyś oddawania się czytaniu, zmuszoną była przyjąć Sekretarza, któremu dyktowała wysnuwające się z jéj wyobraźni powieści; ale nie mógł nigdy wydążyć, gdyż to dyktowanie było zawsze, jakby nieustanném i szybko się rozwijającém opowiadaniem. Konieczne zaś przerwy, wynikające z niepodobieństwa pisania z takim pośpiechem, rodziły w rozpromienionéj wyobraźni autorki tysiące myśli i porównań, których żadne pióro, jakkolwiek skore, schwycić i skreślić nie

zdołało, a których największą część w przepisaniu opuszczać trzeba było. Nadzwyczajna ich mnogość, przeciążała przejrzystość jéj utworów, jak zbytnia obfitość kwiatów i owoców wysila urodzajne drzewa.

(Dokończenie nastąpi.)

Zakłady naukowe przy b. Uniwersytecie warszawskim.

(Dalszy ciąg.)

Gabinet botaniczno-plastyczny.

IX. Znajdował się przy Uniwersytecie gabinet preparatów botanicznych, częścią naturalnych, częścią plastyczno-botanicznych, do poznania w każdym czasie wewnętrznego składu roślin wielce pomocny. Nader szczupły w zawiązku swoim, składał się z małego zbioru, znajdującego się w pośród przedmiotów historyi naturalnéj, zakupionych w 1818 r. od spadkobierców Hr. Minkwitza w Gronowicach w Szląsku, o którym już wyżéj mówiliśmy. Gorliwością zaś Fryderyka Hoffmana, Professora mineralogii w wydziale filozoficznym i dozorcy w mowie będącego gabinetu, ciągle wzrastał. Jemu winien swój początek, jego ręką z rzadką zręcznością wyrobiony, od niego w r. 1818. dla Uniwersytetu nabyty i ciągle uzupełniany. Brak osobnego dla tego gabinetu lokalu, był powodem, iż się mieścił razem z gabinetem zoologicznym, w jednéj sali, złożony w miejscu nader niedogodném. W roku dopiéro 182?. otrzymawszy osobne miejsce i fundusz na porządne szafy, Prof. Hoffman cały zbiór wygodnie urządził, i przyczynił kilkadziesiąt eksemplarzy objaśniających różnicę kielicha. Ze zbioru tego korzystała nadal za pozwoleniem Kommissyi rząd. w. r. i o. p. szkoła guwernantek pod przewodnictwem Prof. Liceum warszawskiego, Antoniego Wagi. Wszystkie plastyczne preparaty tego gabinetu bardzo trafnie wyrobione były, a niektóre między niemi z czarującém naśladowaniem natury wydane, najwprawniejsze oko ułudzić zdołały. Nie był w liczbę sztuk zamożnym, bo ogółem w roku 1830. liczył ich 336 i 36 tablic, miał atoli wszystkie najpotrzebniejsze preparaty.

Gabinet mineralogiczny.

X. Po założeniu królewsko-warszawskiego Uniwersytetu, zbiór minerałów, do Liceum należący, służył oraz do wykładu kursu mineralogii w Uniwersytecie; żeby tém dogodniéj celom obudwu instytutów odpowiedział, pomnożony został w roku 1817. zakupionémi minerałami od Professora Hoffmana. Lecz, że i tak jeszcze dalekim był od zupełności, Kommissya rządowa wyz. rel. i ośw. publ. zwolna uzupełniać go postanowiła, tak, iżby w czasie rozłączony, osobny zbiór dla Liceum, osobny dla Uniwersytetu mógł tworzyć. Jakoż powtórnie w r. 1817. powiększony został gabinet zakupioną wraz z innemi przedmiotami historyi naturalnéj znaczną ilością minerałów ze zbioru Książąt Lubomirskich, Hr. Rzewuskiéj, w roku zaś 1818. w nabytém muzeum historyi naturalnéj w Szląsku od sukcessorów Hr. Münkwitza, wiele znalazło się minerałów, które do głównego zbioru oddane zostały. Lecz najznakomitszym stał się nabytkiem dla Uniwersytetu, znany uczonym gabinet mineralogiczny P. Bekera w Saxonii, liczący około 8,000 sztuk jak najtroskliwiéj dobranych minerałów, w roku 1820. wraz ze zbiorem PP. Müllera i Breithaupt, tamże przez Kommissyą rządową zakupiony. W tym roku Cesarz Aleksander przeznaczył Uniwersytetowi w darze kosztowny i wspaniały zbiór minerałów sybirskich i finlandzkich. Troskliwy o wzrost nauki mineralogii Dr. Zipser, Professor w Neasohl, przysłał Uniwersytetowi 700 sztuk pięknie dobranych minerałów węgierskich; przez co złączony z dwoma powyższemi obejmował gabinet 12,000 sztuk minerałów.

Z wymienionych zapasów rozpoczął w roku 1821. Prof. Liceum warszawskiego, Marek Antoni Pawłowicz, Dr. fil., pod którego dozorem gabinet zostawał, ogromną pracę oczyszczania i przywracania znamion zatartych przez nowe odłamy; a potém rozgatunkowywania i porządkowania podług systematu Haüy, wielkiego zbioru dla Uniwersytetu. Przez co otrzymał gabinet przeszło 10,000 sztuk dokładnie oznaczonych, pomnożony o 100 sztuk nowych minerałów, nadesłanych darem Professora Zipser; w który to skład nie wchodziły już w r. przeszłym uporządkowane minerały w liczbie 7,677, z różnych źródeł nabyte. Ułożony gabinet lubo nie był kompletny, tyle jednak zamożny, iż z pożytkiem mógł być od młodzieży i publiczności zwiedzany, jako też przy pomocy jego kurs jeognozyi, a mianowicie oryktognozyi, obszernie wykładany. Z tych też dwóch główniejszych składał się działów, to jest: jeognostycznego i oryktognostycznego. Piérwszy w szafach za szkłem mieścił w sobie skał do rozmaitych utworów należących sztuk 1,700, między któremi znajdowały się piękne wyciski tak roślin, jak i zwierząt, niemniéj rzadkie i ciekawe skamieniałości w wielkich eksemplarzach. Zbiór oryktognostyczny rozłożony był częścią w szafach, częścią na stolikach, zewsząd szkłem przykrytych. Oprócz tego z większych i znakomitszych eksemplarzy Prof. Pawłowicz utworzył zbiór podręczny, służący do prelekcyi, a z pozostałych dubletów ułożył 12 mniejszych zbiorów dla szkół wojewódzkich, i do tychże w 1822 r. rozesłał, z których każdy około 1,000 sztuk liczył dobrze oznaczonych i w małym formacie, wszystkie zaś ogółem 14,759 sztuk wynosiły. W roku 1824. otrzymawszy gabinet złotp. 5,260 na powiększenie zbiorów mineralogicznych (z sum-

my 20,306 złotp., powziętéj z opłat od uczniów Uniwersytetu, a przeznaczonéj na pomnożenie zbiorów w wydziale filozoficznym) zakupił piękną kollekcyą minerałów, z Syberyi sprowadzonych w liczbie sztuk 209, zbiór kryształów sztuk 242, i różnych sztuk rzadkich 28. W darze od Radzcy stanu Zielińskiego otrzymał marmurów starożytnych polerowanych sztuk 53, do czego Kommissya rządowa spraw wewnętrznych przesłała z górą 100 sztuk dobranych minerałów z kopalni krajowych.

Dary przechodzące zamożność prywatnego człowieka, które niezmiernie na wzrost i świetność tego gabinetu wpłynęły, pochodziły jedynie z życzliwości i poświęcenia się temu zawodowi Professora Pawłowicza. Ten w czasie swéj podróży w latach 1825 i 26 odbywanéj po krajach południowéj Europy, przysłał Uniwersytetowi ośm pak minerałów, resztę zaś wraz z swoim powrotem przywiózł. Zbiór ten dobierany w różnych stronach Europy, większym był i obfitszym w osobliwości nad powszechne oczekiwanie, licząc sztuk wszystkich 1,517. Mieścił w sobie minerały sycylijskie w liczbie 76, między któremi wielkie eksemplarze siarkanu, stroncyanny, wyraźnie i pięknie krysztalizowane, nie tylko do nauki, ale i do ozdoby gabinetu posłużyły. Minerały z wyspy Elby sztuk 161, mieszczące całkowity zbiór żelaza oligistu w różnych postaciach i kolorach, jako téż jenitu krysztalizowanego. Z okolic Rzymu sztuk 56, z okolic Neapolu 758, zawierały w sobie nie tylko wiele nowych i rzadkich gatunków, ale nadto kompletny zbiór skał, do utworu Wezuwiusza wchodzących. Minerałów węgierskich było w tym zbiorze 86 sztuk; czeskich, wykazujących następstwo skał karlsbadzkich, sztuk 150. Zbiór nakoniec z okolic Paryża mieścił wszystkie tamtejsze skały we względzie geologicznym i składał sztuk 230. Dla ułatwienia wykładu krystalografii przybył w roku 1825. zamówiony przed kilku laty z Paryża zbiór krystalograficzny, obejmujący przeszło 1,045 modelów wszystkich znanych dotąd kryształów z drzewa wyrobionych. Kommissya rządowa w. r. i ośw. publ. nabyła także zbiorek kryształów od Radzcy nadwor. Müllera, z których kilkanaście eksemplarzy pomnożyło zbiór uniwersytecki, reszta posłużyła do skompletowania zbiorów szkół wojewódzkich, w ogólności z wszelkich dubletów corocznie się pomnażających układano pomniejsze zbiorki dla szkół wydziałowych. Gabinet nie przestawał wzrastać już to z funduszu, etatem wyznaczonego, na pomnożenie zbiorów mineralogicznych, już przez dary wielu miłośników nauk przyrodzonych i życzliwych im ziomków. Kommissya rządowa oprócz tego z oddzielnych funduszów, na ten cel przeznaczonych, zakupywała wiele rzadkich i godnych posiadania szczegółów, jakoto n. p.: zakupiła w Hamburgu zbiór minerałów szwedzkich i norwegskich z 300 sztuk złożony. Panujący Monarcha w r. 1830. darował zbiór rodzimego złota i platyny, odznaczający się krysztalizacyą i rzadką wielkością, pochodzący z nowo odkrytych kopalni sybirskich. W. Ks. Konstanty nadesłał äcrolit spadły w okolicach Białegostoku, i t. d. W ogóle gabinet posiadał sztuk 15,500.

Zajmowały tu oko piękne wyciski roślin i zwierząt, skamieniałości i wiele minerałów polerowanych, a osobliwie piękny zbiór agatów w rozmaitych odmianach, nabyty wraz z innemi przedmiotami historyi naturalnéj w Opolu od Hr. Rzewuskiéj. Posiadał także sprowadzone z Paryża i pod okiem sławnego Haüy zrobione narzędzia, do śledzenia najdelikatniejszych własności w ciałach kopalnych, przytém kilkaset sztuk minerałów w wielkich eksemplarzach, które razem były ozdobą gabinetu. Do potrzeb swoich uzyskał w 1827 roku fundusz dostateczny na rozszerzenie miejsca i sprzęty, jakoż przydzielono dwie sale znaczne, dobrze oświecone z dawniejszych auditoriów, i jeden pokój podłużny, odkąd pomieszczenie zbioru okazało się stósowne, wygodne, a nawet okazałe. Przeznaczono jednę salę na gabinet samych płodów krajowych minerałów, które za staraniem Kommissyi rząd. spraw wewnętrznych po rozmaitych kopalniach zbierać poczęto, oraz podróże geologiczne, odbywane po kraju, Adjunkta przy historyi naturalnéj, przez co mógł powstać zbiór krajowców, tyle obchodzący a dla obcych najciekawszy. Nadto miała być urządzona pracownia, przeznaczona do rozbioru chemicznego mineralnych, zwłaszcza krajowych gatunków, do czego atoli nie przyszło.

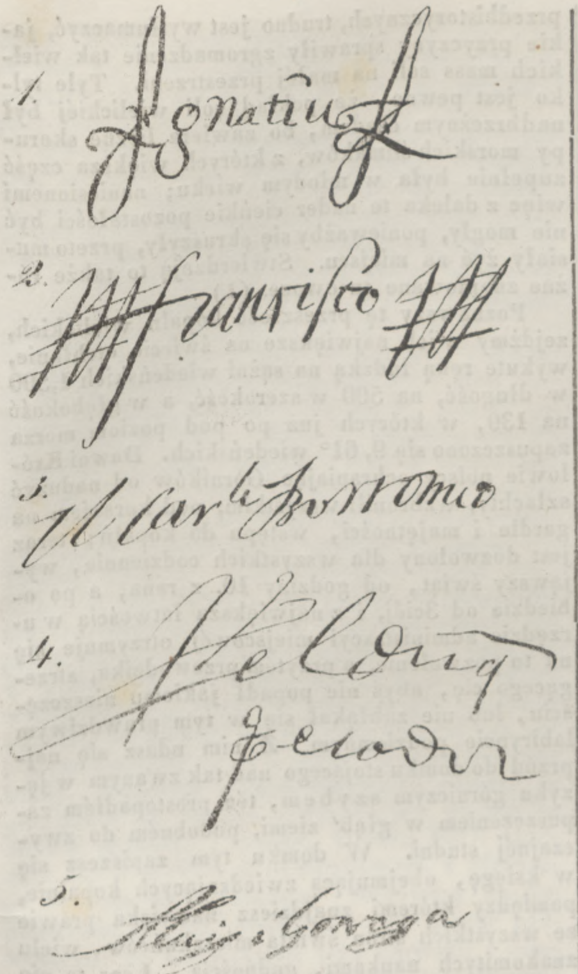
Gabinet mineralogiczny ścisłém oznaczeniem i opisaniem każdego eksemplarza odznaczający się, jako téż systematycznie uporządkowany w ten sposób, iż odwiedzający bez pomocy o wszelkich jego szczegółach dokładną wiadomość mogli powziąść, otwierany bywał dla uczącéj się młodzieży i dla publiczności w dni wtorkowe w zimie od godziny 2. do 4, w lecie od 3. do 5.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Do Redakcyi Przyjaciela ludu.

Tyle znakomitych mężów zbierają facsimilia, tyle już ich ogłoszono w Przyjacielu ludu, że miło będzie czytelnikom widzieć podpisy własnoręczne kilku Świętych, zaszczytnie znanych w dziejach wieku XVI., a mianowicie ozdób owego szanownego Towarzystwa Jezu, któremu kraj nasz tyle ma do zawdzięczenia (?); szczególniéj, że niezmordowane jego usiłowania, wyratowały naszych pradziadów z herezyi grasującéj po Europie i z schizmy już cisnącéj od wschodu.

W. M.



Facsimilia:
1. *Ś. Ignacego Loyoli, z Towarzystwa Jezusowego.* 2. *Ś. Frańciszka Xawerego, z Tow. Jezus.* 3. *Ś. Karola Boromeusza.* 4. *Ś. Frańciszka Borgiasza, z Tow. Jezus.* 5. *Ś. Alojzego Gonzagi, z Tow. Jezus.*

Zamek krakowski.

(Dalszy ciąg.)

Z dawnych inwentarzy zamkowych dowiadujemy się, że piérwsze i drugie piętro pałacu miało pokojów wraz z gabinetami 64. Dziś po zniszczeniach i przemianach, trudno jest je zrachować, trudno jest dojść ich rozkładu, i na próżno chciałbyś je zwiedzić, przechodząc je koleją. Lecz pomiędzy niemi wyszukasz takie, które możesz z pewnością przybrać w dawne ich ozdoby, wskazać dawnych ich mieszkańców, i przywołać z dziejów zaszłe w nich zdarzenia. I tak: pokoje nad bramą wjezdną na dziedziniec pałacowy, były mieszkaniem ostatniéj z rodu Jagiełłów Królowéj Anny, małżonki Stefana Batorego (1). W drugim pokoju, spojrz oknem, a zobaczysz kaplicę Batorego, w któréj zwłoki tego Króla spoczywają. W ostatnim pokoju, spytaj się dokąd te zamurowane piękne gotyckie drzwi prowadziły? a dowiesz się, że znów do téj saméj pięknéj kaplicy. Z tego, coś zobaczył, i z tego, coś się dowiedział, odkryjesz, jakiemi tu uczuciami miotane było serce téj niewiasty, słynącéj chwałą wszystkich cnót. Przejściem wspomnioném, Królowie polscy zwykle udawali się na nabożeństwo do kościoła katedralnego (2).

Po lewéj ręce wnijścia na galerye, pokój drugi jest o sześciu oknach i zwał się izbą srebrną (3), jéj pułap sztukami rzezanemi, złocistemi był wyłożony, a ściany całe aż do wierzchu, zastawione były szafami kredensowemi, w nich w piramidy ułożone stały srebra, do ozdoby stołu królewskiego używane, a których wielość i piękność podziwiali cudzoziemcy (4). Daléj jest sala, któréj sklepienie unosi się na filarze w środku stojącym, w niéj był przedtém wielki komin szafiasty, zwany w starych inwentarzach kuchnią Króla Władysława; którego Władysława i zkąd tak zwany? nie wiadomo; lecz zdaje się, że Władysława Jagiełły, bo Władysław IV. w Warszawie zwykle przemieszkiwał. W sali téj odbywały się doświadczenia chemiczne, które najpodobniéj, że uskuteczniał Zygmunt trzeci, oddający się z wielką skłonnością alchemii wraz z swym doradzcą Mikołajem Wolskim, Starostą krzepickim (5). Z téj sali wchodzi się przez gabinet do pokoiku w wieży wystawionéj za czasów Zygmunta trzeciego; zkąd pokoiki te zwały się zygmuntowskiemi. Pozostały w nich jeszcze sklepienia ozdobione sztukateryami dawniéj wyzłacanemi. Z pokoików tych przez sionkę (w któréj były schody przez wszystkie piętra prowadzące aż do więzienia pod tą wieżą zygmuntowską) przechodziło się do pokoiku w **Kurzéj stopie**. Dziś chcąc zwiedzić tę część pałacu, trzeba udać się przez galeryą do drzwi, nad któremi jest napis: „Moderata durant,“ temi wnijść do wielkiéj sieni, dopiéro z téj do sionki i do pokoiku w **Kurzéj stopie**. Pokoik ten, który już za czasów Zygmunta Augusta uważano za starożytny, nie przechował nam nic z piérwiastkowych swych ozdób, z późniejszych zaś, to jest z czasów Wazów, pozostały tylko piękne odrzwia marmurowe, na których widać herb téj rodziny. Dawniéj ten pokoik zdobił kominek marmurowy szafiasty z dwoma kolumnami i gzemsem, na którym były herby i osóbka z koroną. Pułap był rzezaną złocistą robotą, w nim włoskie malowidła, — ściany okryte były jedenastu włoskiemi obrazami w ramach złotych, podłoga wy-

(1) Pamiętniki Niemcewicza, t. I. str. 254.

(2) Patrz część II. Pam. z Krak., str. 33.
(3) Grabowski, Kraków, str. 327.
(4) Gołębiowski, domy i dwory str. 68. i 280.
(5) Grabowski, Kraków str. 327.

łożona była marmurową posadzką (6), a okien aż sześć oświecało ten malutki pokoik. Z sionki przed tym pokoikiem są odrzwia z napisem: „Vellis quod possis;“ odrzwia te i następne w drugim pokoiku z napisem: „Tendit in ardua virtus,“ prowadziły do będącéj tu łazienki, zwanéj zygmuntowską. Wróciwszy się do sieni (przed izbą wielką, gdzie Panny Królowéj jadały), na prawo są pokoje, w których przechowały się jeszcze starożytne piękne kamienne gotyckie odrzwia. Pokoje te były świadkami cierpień i zgonu nieszczęśliwéj Barbary Radziwiłłownéj (7), gdyż w nich podług podania mieszkać ta Królowa miała, z powodu, iż łączyły się z pokojami zajmowanemi przez Zygmunta Augusta, którego ulubioną komnatą był pokoik Kurzéj stopy. Po za temi pokojami Barbary jest sień, a z niéj schody prowadzące na dół, i wyjście na galeryą, nad którém napis: „Exitus acta probat.“ W ostatnich pokojach na tém piętrze, można jeszcze widzieć owe sufity drewniane starożytne z czasów Jagiellonów, oszczędzone przez pożar w roku 1702. Sufity te są podzielone na małe kwadraty prawie łokciowe, a głębokości półłokciowéj; kwadrat taki każdy jest listwami snycersko-wyrobionemi wyłożony, a ze środka wypuszczone są piramidy w floresy robione i wyzłocone.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Żupy solne w Wieliczce.

(Ciąg dalszy.)

Pokład soli wielickiéj ma kierunek ze wschodu na zachód, a właściwie północno-żachodni, według godziny 20, 6⅔ kompasu górniczego, czyli godziny 7—8 kompasu na dwa razy 12 godzin podzielonego. Pochył jest różny, głównie zapada na południe pod kątem 40° wynoszącym, w środku tworzy łuk i tam w dwie przeciwne strony świata pochyla się, to jest na północ i południe.

Dowodzą, że sole wielickie powstały przez osad wodny; dwie jéj odmiany, szybikowa i spiżowa, tworzą pokłady, podobnie jak inne skały z wód osadzone. W iłach i w solach spiżowéj i zielonéj, miejscami bardzo obficie nagromadzają się skorupy istot morskich. W soli spiżowéj, warstewkach równoodległych, zawieszone są ziarna drobnego piasku, co cieńkie kawałki téj odmiany przed światłem trzymane bardzo pięknie to pokazują. W soli szybikowéj zaś układają się podobnym sposobem cieńkie igiełki gipsu, co się przy rozpuszczeniu soli w wodzie okazuje. Przyczyna powstania brył soli zielonéj, nie jest dotychczas dostatecznie wyjaśniona.

Jeżeli niema wątpliwości, że pokład wielicki osadził się z morza piérwotnego, w czasach przedhistorycznych, trudno jest wytłumaczyć, jakie przyczyny sprawiły zgromadzenie tak wielkich mass soli na małéj przestrzeni. Tyle tylko jest pewno, że pokład soli wielickiéj był nadbrzeżnym osadem, bo zawiera liczne skorupy morskich ślimaków, z których większa część zupełnie była w młodym wieku; naniesionemi więc z daleka te nader cieńkie pozostałości być nie mogły, ponieważby się skruszyły, przeto musiały żyć na miejscu. Stwierdzają to także różne znajdowane tu owoce. (1)

Poznawszy tę przeszłość kopalń wielickich, zejdźmy w ich największe na świecie otchłanie, wykute ręką ludzką na sążni wiedeńskich 1,500 w długość, na 500 w szerokość, a w głębokość na 130, w których już po pod poziom morza zapuszczono się 9, 61° wiedeńskich. Dawni Królowie polscy ochraniając Górników od nadużyć szlachty, wzbronili wszystkim, pod karaniem na gardle i majętności, wstępu do kopalń; teraz jest dozwolony dla wszystkich codziennie, wyjąwszy świąt, od godziny 10. z rana, a po obiedzie od 3ciéj, i z największą łatwością w urzędzie administracyi miejscowéj otrzymuje się na to pozwolenie, a przytém przewodnika, strzegącego cię, abyś nie popadł jakiemu nieszczęściu, lub nie zabłąkał się w tym prawdziwym labiryncie podziemnym. Z nim udasz się najprzód do domku stojącego nad tak zwanym w języku górniczym szybem, tém prostopadłém zapuszczeniem w głąb' ziemi, podobném do zwyczajnéj studni. W domku tym zapiszesz się w księgę, obejmującą zwiedzających kopalnie, pomiędzy któremi znajdziesz nazwiska prawie ze wszystkich stron świata mieszkańców, wielu znakomitych naukami, godnością. Lecz to nie teraz dopiéro zwiedzać tak je zaczęto; gdyż jak z dziejów się dowiadujemy, Król Władysław Jagiełło z przybyłymi w roku 1424. na koronacyę małżonki swojéj Zofii: Cesarzem Zygmuntem, Erykiem, Królem duńskim, czternastoma książętami i licznymi Posłami innych dworów, zwiedzał te kopalnie. (2) I nasz Kopernik do ich zwiedzenia zachęcił współczesnych mu sławnych zagranicznych uczonych, jakoto: ze Szląska Willichiusza, Grzegorza Joachima Rhaetika, Schröttera ze Szwajcaryi, Joachima Vadiana, znakomitego poetę i natury badacza. I nasza bohatérka, Ludwika Marya, żona Jana Kazimierza, w roku 1661. (3) podziwiała te kopalnie, zamieszczone od zwiedzających w liczbie cudów świata.

W tym domku wdzieją na ciebie płaszcz

(6) Grabowski z inwentarzy z roku 1679. i 1709.
(7) Patrz część I. Pam. z Krak., k. 96.

(1) Opis ten geologiczny jest wyjęty z opisu Wieliczki przez Ludwika Zejszner, wydanego w Berlinie r. 1843. Wśród różnych mniemań uczonych poszliśmy za zdaniem tego naszego rodaka, tak zaszczytnie znanego w świecie z swéj biegłości w tym przedmiocie naukowym.
(2) Długosz lib. XI. p. 475.
(3) Dr. Boczkowski o Wieliczce r. 1843., k. 75.

biały, przeznaczony dla podróżnych, i pokażą ci zachowane tu na pamiątkę podobne płaszcze z atłasu, któremi się okrywały osoby panujące przy zwiedzaniu kopalń.

Dwojakim sposobem można zejść do nich, albo spuszczając się, albo po schodach, i po tych wprowadzą ciebie w te otchłanie przy mdłym blasku górniczych kaganków, niesionych przez tak zwanych półlenników, czyli chłopców, którzy po skończonym 15. roku wieku swego tu na naukę oddani, rozpoczynają ją od téj posługi gościom i Górnikom.

Dawniéj nie było żadnych schodów i dopiéro piérwsze wystawił Król Jan III.; były one kamienne, kręcone o 435 stopniach, lecz te się w r. 1716. zawaliły. Dziś są drewniane w 26 oddziałach o 260 stopniach, a są w szybie założonym w r. 1812., noszącym nazwę Cesarza Franciszka, który jak i inne tu szyby jest czworograniasty, wycębrowany grubém drzewem, ma 12 stóp długości, a 9 szerokości. Temi schodami, a daléj ulicą o 109 stopniach coraz głębiéj prowadzącą schodząc i mijając ziemie napływową, to jest piaski i czarne iły, staje się w głębokości 34 sążni wiedeńskich na piérwszém piętrze, czyli na najwyższym poziomie kopalni, od którego poczyna się pokazywać sól i coraz bardziéj w głąb' odkrywa nowe onéj pokłady. Kopalnie w najdawniejszych czasach ograniczały się do tego piętra, to jest do pokładu soli zielonéj, i dopiéro w roku 1657. znajduje się w wykazach rachunkowych z głębszego pokładu sól szybikowa. Stanąwszy na tém piérwszém piętrze, straciliśmy cały obszar podsłoneczny ze wszystkiemi jego barwami i ocieniami, a zstąpiliśmy do głębokiego, jak dumania nasze, podziemia, pomalowanego jedném tłem szaréj solnéj barwy; a wszelako w niém tyle dziwów i uroków znajdziemy, bo tu pracowita i umiejętna ręka przodków naszych wydobywając na wierzch nieocenione pożytków skarby, wyżłobiła otchłanie piękności. Zaraz na wstępie, zajmą cię na wszystkie strony rozchodzące się podziemne korytarze, od Górników wielickich piecami nazwane, szersze i węższe, pospolicie jednak najmniéj 9 stóp szerokości, a 12 wysokości mające; proste a długie, bo ciągną się niekiedy więcéj niż 200 sążni, a jakich nie posiada żadna na świecie kopalnia, a nawet pochlebić się posiadaniem czegoś podobnego nie może.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wyjątki z wieczorów badeńskich J. M. Ossolińskiego, dotąd drukiem nieogłoszonych.

(Dalszy ciąg.)

Objawienie.

Nie poczytał sobie za nic wielkiego ksiądz Kazimierski, że z ognistego pieca kozaczka dyscypliną wytrzepał. Powracał do stodoły nie z więcéj najeżoną czupryną, jak był wyszedł. I w téj to dopiero pielgrzymce odkryła mu się tajemnica Słupeckiego inak. Albowiem gdy przechodząc po pod oborę, usłyszał ryczenie bydła; przyszła mu na pamięć krówka Efremowa; więc zamiast iść do stodoły, szedł nazad do Słupeckiego. Tą razą dał już pokój djabłom, ale nad nim apostołował, żeby pooddawał co komu był wydarł.

Co się prędko wznieci, nie długo się świeci.

Z piérwszego Słupecki dosyć się kruszył. Owszem natychmiast wydał ukaz, z okołów, szałasów, obór, stada i trzody na podwórze spędzić, gromady zwołać i przez pastucha dworskiego ogłosić, żeby każdy swoje poznawał. Już jaki taki brał na postronek co jego było, rogate nie rogate. Pańskiego nie wiele się zostawało.... Słupecki nie mógł wytrzymać tego widoku, zwiesił nos na kwintę.... Stał jak słup wryty niejaką chwilę.... Sądzono, że to z żalu za grzechy; wtém jedną razą, ni z tego, ni z owego, natłoczywszy czapkę na uszy, rzekł: precz ze wszystkiém na oborę; i sam poszedł do wszystkich djabłów.

Pożal się Boże próżnéj pracy.

Ziewnęłaś pani, jak Słupecki czapkę na uszy natłoczył; ksiądz Kazimierski nie ziewnął na to, ale od samego dna serca westchnął; a zapaliwszy się podobną gorliwością jak ową Mojżesz, kiedy nie mogąc z zakamieniałym gminem poradzić, tablicę prawa zgruchotał, wyrzekł na Słupeckiego gardłową klątew: „niechaj go *wściornascy* biorą!“ Wyrzekłszy ją, odjechał z Panem Bogiem. Chłopi też jak zmyci poszli za nim; odprowadzili go aż do karczmy, gdzie przy pożegnaniu, nie wiele zasileni księżém: *Boże opatrz*, po oddaleniu się jego, około stołu zasiedli, i popodpierali głowy pięściami; w okamgnieniu żydek domyślny postawił między nimi półgarcówkę; Matusz ją postrzegłszy, piérwéj przemówił: Miły Walku, ze złym i sam bies nie poradzi. — Sąsiedzie (odpowiedział Walek), gdzie się tam panowie djabła boją. — Stach do nich ozwał się: przyjdzie przecież godzina, że złe kark skręci. Popijali sobie na *humor*, aż Wawrzek, gdy mu się dobrze w pałce zagrzało, zabrał głos: Słuchajcie... powiem wam, co mi też to nieboszczyk tatuś kiedyś powiedział: Król Piast, Panie świeć duszy jego! kiedy kmiotek przychodził ze skargą na swego dziedzica, pytał się go: Niéma też to w kalecie krzesiwa i kamieni na gościńcu... Już się zawiązywała czerniawa, szczęściem na sam raz nadszedł pan podstarości z gandziarą za pasem. Nuż jaki taki wynosić się chyłkiem; wnet w karczmie zostało, jakby wymiótł. Nazajutrz wszyscy wyjechali do oraczki.

Trafi się i mądremu poszkapić.

Niech mi daruje ksiądz Kazimierski, ale podrwił sprawę w tym razie, gdy Słupecki zabierał się grzechy swoje mazać zadosyć uczynieniem. Albowiem nie okropiwszy całego placu wodą święconą, zostawił był jakąś suchą ścieszkę, którą djabeł przymykał się był do Słupeckiego i bechtał go. Tak to jedno nic, jedna omyłka, jedno opuszczenie, psuje grę i najlepiéj nakartowaną.

Djabli zmądrzeli.

Zostawało się, jako o tém dobrze wie Długosz, Słupeckiemu 12 lat albo do poprawy, albo do dopełnienia miary. Odbierał on w tym przeciągu rozmaite posełki, aby się upamiętał; ale djabli pomiarkowawszy się, iż go owo sami mało nie pozbyli, już się z nim łagodniéj obchodzili. Owszem łechtali go po uszach, i ślepili tumanami, że ani brzęku ich kajdan nie słyszał, ani pod swemi nogami bezdennéj przepaści nie widział. Żył też tak, jak gdyby nigdy umrzeć nie miał. Nakoniec klamka zapadła, śmierć mu zajrzała w oczy.

Djabeł przy konającym.

Gdy niebezpiecznie zachorował, jéjmości, jego małżonce, najbardziéj szło o to, ażeby po śmierci na świętém miejscu był pochowany. Namówiła go do spowiedzi. Djabeł nie chciał z babą drzeć kotów, skoczył do głowy po rozum, jakby klin klinem wybił. Słupecki spowiada się, kommunikuje, oléj święty bierze. Pleban ociera łzy chustką, a cieszy się, że obłąkaną owieczkę znalazł. Zapowiada na ambonie, aby jutro na oborę pańską stawili się każdy po swoje, przeprasza imieniem konającego, poleca jego duszę modlitwom wiernych. Na nieszczęście ksiądz nadto głośno śpiewał *Te Deum* przed wygraną, że go za cmentarzem djabli usłyszeli. Lucyper ukuł co tchu w swojéj kuźni psią sztuczkę, jakiéj nie mógł tylko sam najstarszy bies wymyślić; poszedł na folwark, niepotrzebował drzwi ani otwierać, ani odbijać, że duch wstrzelił obces kluczową dziurą w zamek, i przeniknął aż do alkierza. Tam wisiał na kołku podstarościego żupan karmazynowy o trzech guzach dyksztynowych, tuż przy nim kontusz piernikowy z złotym sznurkiem, blisko zaś pas skórzany, trzos z węgorza, kańczug świętalny na trzcinie; lucyper zdejmuje jedno po drugiém, przymierza się do żupana, do kontusza, do pasa, rośnie, grubieje, jak mu wypada do ich miary. Podwiązał trzos pod koszulę, zatknął za pas gańdziarę, zagiął poły, zarzucił rękawy. Że zaś nie znalazł był czapki, świstnął na swoich; w okamgnieniu przybyła kapuza z siwym baranem, zielonym wierzchem i różowemi wstążkami, rodziuniuteńka bliźniaczka owéj, którą o tymże czasie podstarości pokrywał swoją łysinę o kilkadziesiąt mil z tamtąd. W domu Słupeckiego już od kilku dni wyglądano tego podstarościego, który pognał był woły na jarmark do Ołomuńca. Otoż jest! Pan zdrów? pyta się. Nie wiedzieć, czy dożyje wieczora; odpowiedziano mu. Bajka to, (rzekł,) prowadźcie mnie do niego. — Przed tarczanem przegiął się djabeł, aż się i zatoczył. Tak kubek w kubek kłaniał się pan podstarości, osobliwie z jarmarku, albo z odpustu. Co to tu oni bzdurzą, (rzekł zły duch do Słupeckiego,) że pan słaby? Daléj panu do śmierci, jak ztąd do Ołomuńca! Uderzył się po trzosie. Jest, jest kordyał! Oj Panie! teraz terazci to złoty czas na wołki. Trzebaby Maćkowe, Walkowe, Staśkowe postawić na braże. Furda wiązka słomy, opłaci nam się sowicie. Słupecki zapomniawszy, co przyrzekł był księdzu, skinął głową. Rad bies, że księdzu plebanowi finfę po nosie puścił. Rozwiązuje trzos! Jak sypnął złotem, i gdyby był Słupecki na żółtaczkę chorował, ani wątpliwości, iż byłby zdrowy od razu. Gracko się udało, rzekł lucyper, i ledwo się utrzymał, że nie parsknął śmiechem! Każ no panie dostać flachy; wiwat, dobra nasza! Wiedziałci, że wino kwaśne było jak djabeł. Nie gotował też na nie gardła.

Śmierć Słupeckiego i żałoba jéjmości po nim.

Nim przyniesiono flachę, Słupecki duszę wyzionął. Czart zniknął; złoto się w smołę rozlało. Jéjmość widząc trzos próżny, i niebosszczyka męża bez duszy, rykła! Całą też piérwszą noc swojego wdowieństwa ani oka nie zmrużyła. Kadzono wiankami, paliła się gromnica. Śpiewały dziewki folwarczne godzinki. Przeszła spokojnie owa noc. We dworze tylko koło gromnicy przeleciała ćma, która od razu ogniem spłonęła.

Złe nowiny.

Świtaniem przyniosły baby z piekarni straszliwe wieści: Jednéj, złe zdarło czepiec ze łba; drugiéj, wybiło trzonowy ząb; jeszcze jednéj, wycięło policzek, aż się zaindyczyła. Nawet parobkiem, gdy wchodził, grzmotło o ziemię na samym progu. Było tego i więcéj, ale jéjmość nie dosłuchawszy, na łeb, na szyję, kazała fornalkę zaprządz, i pojechała o półtoréj mili do jednéj staréj dewotki, o któréj ta była w całém sąsiedztwie sława, że ją kilka razy na dzień djabeł kusił, a ona mu zawsze szczutka w nos dawała.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)